

# Stochlak, Władysław

---

## Pierwsza matura

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 35-39

---

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## PIERWSZA MATURA

W 1925 roku odbył się pierwszy egzamin maturalny, któremu przewodniczył pierwszy dyrektor Gimnazjum - p. Woyde. Do egzaminu pisemnego dopuszczono 10 osób, trzy osoby odpadły, byli to: Hejmanowski, Makowski i Zieliński. Składaliśmy 5 egzaminów pisemnych: język polski, język obcy, 2 egzaminy z matematyki (algebra z matematyką analityczną oraz stereometria z trygonometrią) i z fizyki. Ponadto 9 egzaminów ustnych. Zdawałem egzamin ustny jedynie z fizyki i matematyki, z pozostałych zostałem zwolniony. Udało mi się bowiem uzyskać pierwszą lokatę na maturze: 3 czwórki - reszta piątki.

Zakończenie roku szkolnego 1924/25 odbyło się bardzo uroczyście: wręczenie matur (pierwszych w dziejach Pruszkowa) połączone z poświęceniem sztandaru. Wieczorem zaś odbył się bal maturalny z udziałem władz miasta. Wygłaszano wiele mów i oracji. W imieniu maturzystów przemawiałem ja.

W latach 1921 - 1925, kiedy uczęszczałem do Gimnazjum, skład Rady Pedagogicznej był następujący: dyr. Jakubowski - polonista (przydomek "Faraon"), p. Jastrzębska - historyczka, p. Dornfest - germanista (przydomek "Liebkino"), Leon Ostrowski - matematyk (przydomek "Baran"), p. Wieczorkiewicz - fizyk, p. Mikulski - geograf (przydomek "Trąbka").

Z kolegów z klasy VIII pamiętam: koleżankę Gajkowiczównę, L. Hejmanowskiego, R. Krygiera, Fr. Lubomirskiego, kol. Makowskiego, St. Mitrowskiego, J. Oźdżyńskiego, Szustkiewicza, Zielińskiego (przydomek "Sześcian") i ja - Władysław Stochlak (przydomek "Sówka").

Ówczesne metody nauczania były twarde i nie tak wydoskonalone jak obecnie. Częstokroć wykładowcy nie trudzili się wyjaśnianiem lekcji, lecz wręcz zadawali ("metoda paznokciowa") w zakresie niektórych przedmiotów nauczania. Uczniowie uczyli się na ogół wiele i zdobywali pod kierunkiem wykładowców wiele wiadomości naukowych. Nie zawsze istniały ogniwa więzi między nauką a życiem, nauka w dużej mierze miała charakter teoretyczny, oderwany od nurtu życia, więc młodzież słabo orientowała się w pulsującym tętnie rzeczywistości. Metodyka ówczesna pomijała zwłaszcza

element upolityczniania tematyki dydaktycznej, stąd uczniowie słabo, lub wręcz w ogóle nie zgłębiali polityki ówczesnej (przynajmniej w naszej szkole).

Stawiano natomiast wychowankom wysokie wymagania w zakresie nauki i realizowano je rygorystycznie. Nie brano w rachubę przemęczenia, słabego przygotowania. "Klasówki" sypały się często, po dwie - trzy nieraz dziennie, gdyż poczynaniom dydaktycznym nie towarzyszyła zasada gradacji wysiłku intelektualnego. Bezwzględnie egzekwowane opanowanie materiału było warunkiem sine qua non pobytu ucznia w szkole. Wychowanek nie wspinający się systematycznie po szczeblach szkolnej wiedzy, obarczony kilku dwójkami w ciągu co najmniej dwóch kolejnych okresów, uznawany był za osobę niepotrzebnie zajmującą miejsce w szkole. Na zwolnione przez takich delikwentów ławki czekały zastępy gorliwców i miłośników nauki. Stąd dość duża i częsta zmienność uczniów, w zależności od postępów naukowych. Ta rygorystyczna metoda dawała jednak dobre rezultaty, choć wiązała się z eliminowaniem uczniów o słabszym zasobie wiadomości, względnie osobników o miernych uzdolnieniach, nie nadążających za wartkim tokiem skomplikowanego i nazbyt trudnego materiału nauczania. Metoda rzucania nie umiejących pływać na głębokie wody wymagań naukowych, budziła jednak przez swą bezwzględność upór utrzymania się w szkole, hartowała ogniwa woli, ambicje przewyciężenia trudności za wszelką cenę, sprostania zadaniom, rozniecając i ugruntowując zamiłowanie do nauki.

Element rygoru wychowawczego istniał niezawodnie w ówczesnym systemie pedagogicznym i potęgował się jeszcze w zależności od indywidualnych cech charakteru dyrektora szkoły, jego osobistych predyspozycji wychowawczych, nastawienia do młodzieży i ambicji zawodowych. Pruszkowskie gimnazjum mogło chlubić się osiągnięciami zarówno w dziedzinie poziomu nauczania, jak i wychowania. Godzi się to jednak obiektywnie stwierdzić, że promieniowanie ideałów dydaktyczno - pedagogicznych ograniczało się w naszej szkole do zbyt ciasnego kręgu. Piętrzyły się zbyt wielkie trudności przed tymi, którzy pragnęli pyszczyć się noszeniem "rondla" gimnazjalnego: brak jednolitego programu w szkołach podstawowych i nie dostosowanie go do wymogów egzaminu wstępnego do szkół średnich, przy jednoczesnych wysokich wymaganiach w zakresie wiadomości, jakie stawiano adeptom usiłującym szczęśliwie "przekroczyć Rubikon" szkoły średniej, stanowiły przeszkody podcinające skrzydła marzącym o zasiadaniu w gimnazjalnej ławie. Opłaty za naukę to następny szkopał, o który rozbijały się pragnienia spragnionych wiedzy na wyższym, średnim etapie nauczania. Jednak zdolni, pracowici uczniowie mogli liczyć na zwolnienie z opłat, co rozwiązywało istotną trudność związaną z pobytem w szkole i otwierało możliwość podjęcia w przyszłości wyższych studiów. Ta pobieżna analiza ukazuje właściwie

elitarny charakter szkoły. Równocześnie chwila refleksji i retrospektywny rzut myśli w piękną sferę życia szkolnego, nakazują mi z wrodzoną mi szczerością stwierdzić, że wśród młodzieży kwitło bujne życie. Ambicje naukowe, szlachetna emulacja - były ostrogą do wspaniałych rezultatów. Nasza od siódmej klasy zgrana i dobrana grupa opanowywała zwycięsko nie tylko wszelkie trudności, związane z przyswajaniem wiadomości objętych programem, ale pod wpływem chęci zdobywania wiedzy w szerszym zakresie, rwała się do studiów dodatkowych, obejmujących materiał nie wykładany w szkole.

Od siódmej klasy zaspakajałem sacrum sapientiae famem (*święty głód wiedzy - przyp. Red.*) dodatkowym studiowaniem początków psychologii oraz ekonomii politycznej. Koledzy uprawiali muzykę lub puszczali się na szerokie wody lektury daleko wykraczającej poza program szkolny.

Symbioza koleżeńska przejawiała się we wzajemnej pomocy w nauce różnych przedmiotów, w zawziętych, zapalonych dyskusjach, które wypełniały nie tylko lekcje, ale również przerwy, a niekiedy i czas poza zajęciami szkolnymi. Z tego nie wynika, że życie nasze zawierało jedynie blaski, były i cienie, bo tylko połączenie blasków i cieni stanowi całość, pełnię życia szkolnego. Tętnił barwny nurt życia szkolnego, "odwalano" sztubackie kawały, rozlegał się beztroski, niefrasobliwy chichot, wplatały się w szarą tkankę życia sztubackiego różowe nitki miłostek, odbywały się przyspieszające rytm młodego serca "randki" oraz wszelkiego rodzaju wybryki i hece. Wszystko to urabiało psychikę "sztubaka", a wartki prąd błyskotliwych przeżyć znajdował w odpowiednim czasie właściwe ujście. Elektryzowały nas spotkania na "czarnej drodze", przestraszało spotkanie "belfra" podczas przechadzki z "sympatią", co zazwyczaj powodowało wyrwanie do odpowiedzi nazajutrz.

Piękną gamą wspomnień grają przeżycia na wycieczkach do Warszawy, Krakowa, Wieliczki. Niezapomnianym akordem dźwięczą wspomnienia z wolnych lekcji w ósmej klasie, za przepierzeniem, na poddaszu, gdzie niezrównany parodysta z bożej łaski - "Sześcian", imitował po mistrzowsku głos "Barana" w jego słynnym powiedzeniu: "Nu, siadaj, ty nic nie umiesz". Ten kalejdoskop wspomnień to barwny obraz szumnej młodości szkolnej, to żywy źródło niezapomnianych. porywających przeżyć, tryskających beztróską, wspaniałym optymizmem, wiarą w świat i w siebie. Wspomnienia lat szkolnych pozostają w nas na zawsze i są jednakowo drogie, bez względu na to, czy dotyczą dobrych, czy złych chwil. Dlatego z perspektywy minionych lat chciałbym na tym miejscu złożyć serdeczne życzenia i podziękowania tym wszystkim, którzy w ofiarnym wysiłku trudzili się niegdyś, jak również tym, którzy aktualnie trud nauczania podejmują. Ad plurimos annos! (*Długich lat! - przyp. Red.*)

Nasi wychowawcy musieli niejednokrotnie stawiać czoła sytuacjom nietypowym, czasem niebezpiecznym, co wynikało z naszej nieposkromionej chęci płatania psikusów.

Pamiętam jak w szóstej klasie na lekcji chemii ktoś wrzucił probówkę z kwasem pruskim do kosza ze śmieciami. Zrobiło się zamieszanie, dym, swąd - istny przedsiónek piekiel! Chemik kazał otworzyć okna, uczniowie bardziej udając panikę, niż autentycznie przestraszeni, uciekli w popłochu z klasy. Lekcja przepadła, a o to przecież chodziło! Innym razem lekcja chemii (która nadawała się jak żadna inna do robienia kawałów) była teatrem wypadku, który mógł okazać się niebezpieczny. Ktoś z uczniów włożył do kałamarnicy okruszek sodu. Dał się słyszeć syk, huk i błysk rozświetlił klasę. Na szczęście nic się nikomu nie stało, jedynie na suficie osiadła czarna plama z atramentu. Pilne poszukiwania sprawcy nie dały rezultatu.

Mieliśmy też w siódmej klasie nie mało uciechy spowodowanej roztargnieniem naszej profesorki od historii - pani Jastrzębskiej. Nigdy ona nie notowała, co zadała do przerobienia do domu, więc nieraz przez kilka tygodni wmawialiśmy jej, że mieliśmy przerobić jedną i tę samą lekcję, jak to miało miejsce na przykład z wyprawą Napoleona do Rosji.

Kiedys znów do uszu dyrektora dotarła wiadomość, że kilku uczniów gimnazjum zbyt hucznie świętowało imieniny swego kolegi. Dyrektor Jakubowski - "Faraon" - wezwał więc do swego gabinetu wszystkich podejrzanych i wskazując palcem najbliższemu stojącemu, pyta:

- Piłeś wódkę?

- Skąd, panie dyrektorze! - zaprzecza uczeń.

Dyrektor zbliża się doń i prawie krzyczy:

- Piłeś wódkę?

- Nie, nie ... Nie piłem - zaprzecza słabo delikwent.

Więc dyrektor wrzeszczy na całe gardło, tupiąc i wpatrując się w oczy winowajcy:

- Piłeś wódkę???

- Tak, piłem, panie dyrektorze - wyrzuca z siebie wyznanie niewczesny uczeń, wyraźnie oddychając z ulgą.

Jak więc widać, nasi pedagodzy mieli sposoby wyciskania prawdy z wychowanków. Ale zdarzało się, że oni sami byli także autorami anegdot, które długo potem krążyły po szkole. Jedną z najbardziej ulubionych powstała na lekcji matematyki w klasie czwartej. Jedną z uczennic tejże klasy, koleżanka Skrzypińska - pałała afektem do kolegi Zielińskiego, ucznia klasy siódmej, noszącego przydomek "Sześcian". Otóż ta właśnie koleżanka została wywołana na lekcji matematyki przez "Barana" aby dowiodła twierdzenia doty-

częcego kwadratu. Niestety, dziewczyna nie przygotowała się do lekcji. "Baran" wpisując jej dwóję, zauważył:

- To ty nie znasz kwadratów, a już zabierasz się do sześciątów?

Nie tylko jednak same kawały absorbowały nas w owym czasie. Zajmowały nas także i sprawy poważne. Przeszło tydzień trwały dyskusje w ósmej klasie, jakie hasło umieścić na sztandarze szkolnym. Zaproponowane przeze mnie "Nauką dźwignijmy ducha" zostało uzupełnione przez klasę, przybierając w ostateczności następujące brzmienie: "Nauką i cnotą dźwignijmy ducha".

Chciałbym, aby ta dewiza pozostała na zawsze na sztandarze naszej szkoły i aby miała uzasadnienie.